

PAUza

Akademicka



Rok IX

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności

Nr 369

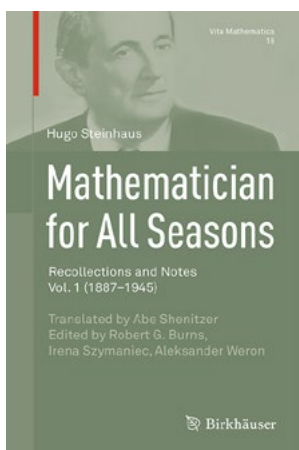
Kraków, 26 stycznia 2017

pauza.krakow.pl

pau.krakow.pl

Hugo Steinhaus

Hugo Steinhaus, światowej sławy polski matematyk, urodził się 14 stycznia 1887 r. w Jaśle, zmarł 25 lutego 1972 r. we Wrocławiu. Studiował matematykę we Lwowie i Getyndze. Od 1916 do 1941 r. związany był z Uniwersytetem Jana Kazimierza we Lwowie. Od 1945 r. organizował życie uniwersyteckie we Wrocławiu. Był m.in. pierwszym dziekanem Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii, wspólnego wówczas dla Uniwersytetu Wrocławskiego i Politechniki Wrocławskiej. Był twórcą dwóch szkół matematycznych: analizy funkcjonalnej we Lwowie (wspólnie ze Stefanem Banachem) oraz zastosowań matematyki we Wrocławiu. Od 1945 r. był członkiem Polskiej Akademii Umiejętności.



W latach 2015–2016 w znanej serii „Vita Mathematica” wydawnictwa Birkhäuser ukazał się przekład wspomnień Hugona Steinhausa pod znamienym tytułem *Mathematician for All Seasons*, w tłumaczeniu na angielski Abe Shenitzera.

Dzieciństwo Hugo Steinhaus spędził w Jaśle. Po ukończeniu tam klasycznego gimnazjum rozpoczął w 1905 r. na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie studia z zakresu filozofii i matematyki. W następnym roku przeniósł się na Uniwersytet w Getyndze, gdzie w latach 1906–1911 studiował tzw. matematykę czystą, a także dyscypliny objęte ogólną nazwą matematyka stosowana, i ponadto astronomię. 10 maja 1911 r. uzyskał doktorat *summa cum laude* w tej ówczesnej światowej stolicy matematyki, a jego promotorem był David Hilbert. Rozprawa nosiła tytuł: *Neue Anwendungen des Dirichletschen Prinzips*.

Pod wpływem kontaktów z Feliksem Kleinem, który założył w Getyndze Stowarzyszenie dla Popierania Matematyki Czystej i Stosowanej, Carlem Runge, dyrektorem Instytutu Matematyki Stosowanej, i Constantinem Carathéodorym, ówczesnie docentem matematyki – rozwinęły się zainteresowania Steinhausa zastosowaniami matematyki.

Pod wpływem Davida Hilberta i Hermanna Minkowskiego nawiązał w 1910 r. bliski kontakt z przebywającym wtedy w Getyndze znanym fizykiem amerykańskim, laureatem Nagrody Nobla z roku 1907, Albertem A. Michelsonem, który zaproponował mu nawet, by pojechał z nim do Chicago w charakterze jego matematycznego asystenta.

Jednak nie doszło do tego, bo Steinhaus dosyć miał już pobytu na obczyźnie. Wrócił do Jasła i – jak pisze – był przez pewien czas „prywatnym uczniem”, sporo czasu spędzającym na wyjazdach do Lwowa i Krakowa oraz w podróżach do Włoch i Francji. Podczas pierwszej wojny światowej służył w artylerii Legionów Polskich, a po wojnie pracował w Dyrekcji Odbudowy Kraju w Krakowie. Na krakowskich Plantach dokonał swojego największego odkrycia – talentu matematycznego Stefana Banacha (por. „PAUza Akademicka” 225/2013), co upamiętnia postawiona tam niedawno ławeczka (por. „PAUza Akademicka” 239/2014, 361/2016).

W latach 1948–1962 Hugo Steinhaus kierował Grupą Zastosowań w Państwowym Instytucie Matematycznym we Wrocławiu. Na kolejnych Zjazdach Matematyków Polskich w 1948 r. i 1953 r. wygłosił referaty plenarne: *Drogi matematyki stosowanej* i *Rachunek prawdopodobieństwa jako narzędzie badań w przyrodoznawstwie i produkcji*. Motywy postępowania Steinhausa znajdujemy w jednym z jego referatów z 1955 r.: „Właściwą taktyką było tu przerzucanie mostu z brzegu matematycznego na przeciwny brzeg w miejscu najszerszym: należało zaatakować obóz biologów i lekarzy, najdalszy i – pozornie – najtrudniejszy do zdobycia”.

Podczas pobytu w USA w 1947 r. Steinhaus odwiedził National Bureau of Standards, znaną firmę Westinghouse, szpital w Bethesda, MD, i Pentagon, gdzie zademonstrował swój introwizor – urządzenie pozwalające na lokalizację niewidocznych przedmiotów (np. w ciele pacjenta) za pomocą radiologii. Zdobył *amerykański patent* 2441538 na ówże introwizor, przyznany mu 11 maja 1948 roku.

W pewnym sensie urządzenie to było prekursorem współczesnego tomografu. W latach 1965–1968 H. Steinhaus, H. Kowarzyk (lekarz) oraz S. Szymaniec (biolog) opublikowali cykl pięciu artykułów na temat chromosomów, telomerów oraz opisu rozkładów centromerów w komórkach ludzkich.

Zauważmy, że dopiero w 2009 r. E.H. Blackburn, C.W. Greider i J.W. Szostak zdobyli Nagrodę Nobla z fizjologii albo medycyny za odkrycie, jak zakończenia chromosomów chronione są przez telomery, oraz za odkrycie enzymu telomerazy. Anomalna dynamika, telomerów i centromerów w żywych komórkach jest intensywnie badanym problemem współczesnej biologii molekularnej dzięki mikroskopii fluorescencyjnej – za jej rozwój Nagrodę Nobla z chemii w roku 2014 otrzymali E. Betzig, S.W. Hell i W.E. Moerner.

ALEKSANDER WERON

Politechnika Wroclawska

Nie tylko ławeczka

Legenda Lwowskiej Szkoły Matematycznej trwa. Po ławeczce na krakowskich Plantach („PAUza” 361/2016), przy której Hugo Steinhaus „odkrył” Stefana Banacha (co stało się symbolicznym początkiem tej szkoły), we Wrocławiu zostało pokazane widowiskowe muzyczne *Opera matematyczna. Paradoksalny rozkład sfery*, poświęcone dramatycznym losom jej członków na tle wielokulturowego Lwowa, ukazujące atmosferę ich fascynacji nauką, która była sensem ich życia i w której szukali ucieczki przed straszną historią, jaka ich osaczyła.

Stało się to we wtorek, 18 października 2016 roku, w sali wrocławskiego Impartu, okazją zaś był przysługujący miastu tytuł Europejskiej Stolicy Kultury, którego budżet pozwolił na sfinansowanie przedsięwzięcia. Była to prapremiera, doskonale przez publiczność przyjęta. Tekst i muzykę napisał znany artysta i poeta Roman Kołakowski, który jednocześnie wyreżyserował spektakl, udział zaś wzięli głównie warszawscy aktorzy, muzycy i tancerze. Narratorem był Hugo Steinhaus (w tę rolę wcielił się Andrzej Seweryn). Wygłosił on dłuższą orację: na początku o pięknie i tajemniczości matematyki i drugą – na końcu – o tragicznych losach matematyków lwowskich, a w tych klamrach, niejako spinających całe przedstawienie, pokazano nam kilkanaście scen – epizodów z życia Banacha (którego doskonale zagrał Damian Łukawski), uwydatniających jego fascynację potęgą matematyki i siłę geniuszu Banacha (tytułowy paradoksalny rozkład sfery jest obiegową nazwą jednego z wielkich odkryć Banacha, dokonanego wspólnie z Adolfem Tarskim z Warszawy w 1924 roku), połączoną z jego prostym i przyjacielskim stylem bycia, ale także zdecydowanymi osobistymi wyborami. Epizody miały różne formy teatralne (piosenka, dialogi, taniec) i przeplatały się w nich różne języki (polski, francuski, niemiecki, rosyjski, ukraiński, angielski, jidysz, japoński), dając w sumie wyraziste i pociągające widowisko, w którym widoczna była i ufność w siłę rozumu, i barwność przedwojennego Lwowa, ale również konieczność dokonywania dramatycznych wyborów (przejmująca rozmowa Stanisława Ulama ze Stefanem Banachem przed wyjazdem braci Ulamów do Stanów Zjednoczonych latem 1939 roku), wrogość (wyeksponowana postać ukraińskiej bojowniczkii Kateryny Zaryckiej, córki matematyka Myrona Zaryckiego, bliskiego Szkole i Polakom – dziś oboje mają ulicę we Lwowie) oraz straszna okupacja – najpierw sowiecka, a potem niemiecka. Nie wszystkie odniesienia w przedstawieniu były jasne, zwłaszcza dla tych nieznanających bliżej Lwowskiej Szkoły, piosenki w obcych językach też były niezrozumiałe – przemawiało ono jednak siłą sztuki i perfekcją wykonania, do czego przyczyniła się oszczędna i pomysłowa scenografia.

Należałoby sobie życzyć, by ten piękny spektakl został nie tylko zarejestrowany, ale i pokazany jeszcze wiele razy, również w innych miastach. Przed następnymi przedstawieniami bardzo bym jednak doradzał opracowanie programu tłumaczącego pokazywane epizody i obcojęzyczne piosenki. Taki tekst bardzo zwiększyłby wymowę i siłę oddziaływania spektaklu, na co i on, i twórcy niewątpliwie zasługują.

ROMAN DUDA
Uniwersytet Wrocławski

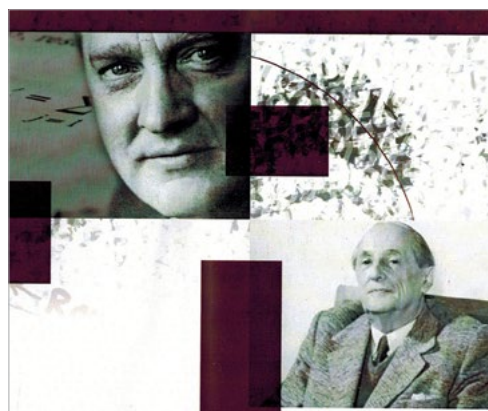
Europejska Stolica Kultury
Wrocław 2016 prezentuje:

Roman Kołakowski
Paradoksalny rozkład sfery

OPERAMATEMATYCZNA

PRAPREMIERA
18 października, godz. 19:00
Impart, ul. Mazowiecka 17, WROCLAW

Kasa IMPART, Mazowiecka 17
Rezerwacja: 71 341 94 32 (12:00-18:00) 71 712 71 00 (8:00-16:00)
rezerwacje@impart.art.pl
www.impart.art.pl
www.eventim.pl



PARADOKSALNY ROZKŁAD SFERY to tytuł jednego z najsłynniejszych twierdzeń matematycznych Stefana Banacha, twórcy analizy funkcjonalnej, które w projekcie artystycznym pt. „**OPERA MATEMATYCZNA**” stanie się metaforą kulturowych, religijnych, naukowych i politycznych zmian, jakie zaszły w Europie i na świecie całym w wyniku II wojny światowej. Będzie to bardzo osobista opowieść teatralna Romana Kołakowskiego (autor tekstu i muzyki) o Lwowie (Lwów to dla mnie zagranica...) – o wielokulturowości, o przyjaźni i wzajemnej wrogości, o polskiej historii, ale także o współczesności, która z historią się nieustannie przenika. O trudnych ludzkich wyborach osobistych, moralnych, politycznych...

Głównym bohaterem widowiska multimedialnego będzie słynny polski naukowiec – profesor Stefan Banach (w tej roli Damian Łukawski) – genialny samouk, jeden z najwybitniejszych myślicieli XX stulecia, współtwórca Lwowskiej Szkoły Matematycznej. Historia jego niezwykłego życia zostanie na scenie opowiedziana w kontekście panoramy wielkich europejskich i światowych wydarzeń, jakie miały miejsce w pierwszej połowie XX wieku. Narratorem będzie inny wybitny uczyony, związany ze Lwowem, a potem z Wrocławiem, profesor Hugo Steinhaus (w tej roli Andrzej Seweryn).

Sztuka będzie formą łączącą nurty tradycyjne i awangardowe, różne języki i różne sfery ludzkiej aktywności intelektualnej (nauka i sztuka). Wystąpi ponad 25 aktorów, muzycy i tancerze. Bohaterowie Opery matematycznej będą mówić i śpiewać po polsku, francusku, niemiecku, rosyjsku, ukraińsku, angielsku, w języku jidysz, a nawet w jidyszku.

A gdzie Hugo Steinhaus?

JERZY PELC

Żał mi, że „Ławkę Banacha” na krakowskich Plantach mogę oglądać tylko na fotografii. Świetny pomysł i mistrzowska realizacja. Ale gdzie Hugo Steinhaus? Przecież gdyby akurat wtedy nie przechodził i nie dostyszał rozmowy dwóch młodych matematyków, Stefana Banacha i Ottona Nikodyma, nie doszłoby do zdarzenia, które potem nazywał swoim największym odkryciem matematycznym. Wiadomo, że to autentyczne wydarzenie stało się punktem zwrotnym w dziejach matematyki, nie tylko polskiej. Przydaje też chwały historii Krakowa. Przy tym „ławeczkowe” monumenty, utrwalające jakiś pamiętny fakt, są dziś na czasie. Widziałem taki w parku w Tartu w Estonii. Zresztą ów fakt nie musi być wyjątkowy; rzesze studentów codziennie przechodzą obok swego „kolegi z brązu”, siedzącego na ławeczce przed gmachem Starej Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie.

Wzniesienie nowego lub rozbudowanie istniejącego monumentu wymaga pieniędzy i wysiłku organizacyjnego, dopomóżmy więc władzom miejskim Krakowa, który tak wspaniale zwykł upamiętniać zasługi i chwałę tegoż grodu. Niech matematycy, informatycy, logicy, fizycy – nie tylko krakowscy – skrzykną się i utworzą zespół, do którego chętni będą mogli kierować datki na pomnik Steinhausa. Powstałaby nowa komórka Społeczeństwa Obywatelskiego, tak bardzo zwłaszcza teraz potrzebnej inicjatywy. Nie mnie, profanowi, podpowiadać wybitnemu Artyście, autorowi „Ławki Banacha”, gdzie umieścić jego rzeźbę. Wolno mi jednak uspokoić Zarząd Miasta Krakowa, że mogłaby ona stać na trawniku za ławką, wsparta rękami na jej poręczy: Steinhaus pochylony przysłuchiwałby się rozmowie dwóch młodych kolegów. Za cenę tego drobnego odstępstwa od prawdy historycznej znikłaby obawa, że będzie przeszkadzał spacerującym po Plantach.

Późną jesienią 1944 r. Henryk Stonert, logik i prakseolog, ranny w Powstaniu Warszawskim, zaszedł do profesora Stanisława Pigonia, który w Krakowie z ramienia Delegatury Rządu Rzeczypospolitej na Uchodźstwie przyznawał i wręczał zapomogi wygnańcom. Gospodarz po kwadransie rozmowy zaprosił gościa, by zamieszkał u niego i jego rodziny w ich mieszkaniu w blokach PKO na Wielopolu. I Stonert pozostał tam przez ileś tygodni. Gdyby go gestapo znalazło, naraziłoby to nie tylko rodzinę

państwa Pigoniów, ale i rodziców Profesora w Komborni, i ojcowy dobytek, może i całą wieś. Był to akt pomocy na miesiąc przed ogłoszeniem hasła „Cały Naród buduje swoją Stolicę”, a na wiele lat przed Gierkowskim „Pomożecie?”. Warszawa mogłaby się odwdziżyć za ten odważny gest i np. jedną z przecnic ulicy Banacha nazwać ulicą Steinhausa – rezydują tam matematycy oraz informatycy Uniwersytetu Warszawskiego, a drugą – Nikodyma, trzecią Chwistka; opodal mają swe siedziby chemicy, biochemicy, biofizycy. Powstałaby Ochota Uczonych w sąsiedztwie ulicy Grójeckiej, którą wyjeżdża się do Krakowa.

Z tym miastem czuję się związany od dziecka. Tędy wiodła droga na przedwojenne wakacje w Piwnicznej lub Zakopanem w ciągu kilku lat; a po wojnie – w Tatrach lub w Krynicy w ciągu kilkudziesięciu. Pamiętam, jakie tumany kurzu wznosiły kopyta konia, gdy fiakier w meloniku wioził nas z dworca na ulicę Szlak, na początku lat trzydziestych jeszcze niebrukowaną. Tu mieścił się oddział instytucji, w której pracował mój Ojciec. Był tam pokój gościnny.

Do siedziby gestapo w gmachu nieopodal trafiłem z końcem 1944 roku. Zatrzymany na pl. Wolnica, po wyjściu z tajnego kompletu, wzbudziłem podejrzenie konwojenta Ukraińca moim zaświadczeniem o przymusowym kopaniu okopów, jedynym nie sfalszowanym dokumentem, jaki miałem. Inne dokumenty wypełniłem własnoręcznie urzędowym tuszem na autentycznych blankietach dostarczonych mi przez komórkę AK w Ożarowie, gdzie w październiku 1944 schroniłem się, uszedłszy z transportu powstańców pędzonych do obozu. W gestapo Niemiec obejrzał tylko to zaświadczenie i stwierdziwszy, że nie jest podrobione, kazał mi iść precz. Reszta transportu usłyszała: „nach Montelupi!” albo „nach Auschwitz!”.

W Krakowie odbyłem swoje ostatnie uniwersyteckie zajęcia na kompletach UJ, i pierwsze na wyzwolonym Uniwersytecie. Stojąc na Karmelickiej, oglądałem wejście, a raczej wtargnięcie Armii Wyzwolicielki *ex Oriente*: pijanych oberwańców, którzy biegli na zachód w łapciach, z workami na plecach zamiast wojskowych tornistrów znikali w przecznicach dla grabieży. Potem zaczęły snuć się po ulicach szkielety półtrupów w pasiakach; dowlekli się z Auschwitz i nieprzytomnymi oczyma



Fot. z Archiwum Centrum Steinhausa

► oglądali świat, nie wierząc, że nadal istnieje. W Krakowie spędziłem z rodzicami niemal rok, który dobrze wspominam – z wyjątkiem kilku dni w „kotle” założonym przez UB. Miłą pamiątką jest dla mnie znaczek członka Bratniej Pomocy Studentów UJ. I pierwsza w życiu legitymacja służbowa zastępcy asystenta „Uniwersytetu Warszawskiego w tymczasowej siedzibie na UJ w Krakowie”. Wystawiona na blankiecie UJ, podpisana przez Rektora Lehra-Spławińskiego, nosi datę „31 stycznia 1945 r.” – początek pracy na Uniwersytecie, trwającej nieprzerwanie do maja 2010 roku. Aż do lat siedemdziesiątych bywałem w Krakowie na konwersatoriach i konferencjach, a do roku 2012 na zebraniach PAU. Myślę, że mogę się tu nie czuć intruzem, który usiłuje wtrącać się do nie swoich spraw, gdy zapytam krakowskich przyjaciół po krakowsku: „A gdyby ci tak zasiać nową tradycję: niech każdy licencjat, magister, doktor, doktor habilitowany, czyli docent, profesor (i ten „podwórkowy”, i ten „belwederski”), członek korespondent, członek czynny i członek zagraniczny PAU – matematyk wszelkiej specjalności i pokrewnych dyscyplin z każdej krakowskiej wyższej uczelni – przyjdzie na Planty ze swym właśnie otrzymanym dyplomem i zrobi sobie pamiątkowe zdjęcie z kolegami matematykami z ławki: Banachem, Nikodymem i Steinhausem, a z kwiatów, którymi został obdarowany, położy bukiet u ich stóp.

Napiszę do mego syna matematyka i wnuka politologa, profesorów uniwersytetów za Oceanem, aby do swych kolegów Polaków, a może nie tylko do Polaków, zaapelowali o pomoc materialną na rozbudowę pomnika wielkich uczonych. Zachęcam swych kolegów w Polsce, by do swoich krewnych na świecie skierowali podobną sugestię.

Ci, którzy będą decydować w sprawie rozbudowy pomnika i sfinansowania przedsięwzięcia, powinni dowiedzieć się więcej o Hugonie Steinhausie, niż umożliwia to treść zapisu w „Wikipedii”. Stąd wzięła się sugestia, by „PAUza” poświęciła mu jeden numer, a w nim umieściła artykuły pióra matematyków, logików, historyków nauki itp., informujące o wkładzie Hugona Steinhausia w naukę światową, oraz notatki o tym, jakim był człowiekiem, o jego ciętym dowcipie i wspianiałym poczuciu humoru, błyskotliwej inteligencji i walorach towarzyskich. Można by też przyznać nagrody w postaci książek i artykułów wspomnieniowych samego Hugona Steinhausia oraz książek zawierających wizerunki tego niezwykłego człowieka. Inaczej się myśli o papierowej postaci historycznej niż o kimś poznanym choćby i z plotek oraz zapisków o jego życiu i ciekawym środowisku rodzinnym (np. szwagier Leon Chwistek), naukowym i towarzyskim, które stanowiło ważny fragment Polskiej Myślącej.

„PAUza Akademicka” 369 jest właśnie takim zeszytem „steinhausianów”. Wyrzebałem do niej w pamięci kilka tych nieważnych migawek z naszych spotkań.

Przypominam sobie taką scenę: wychodzę z apteki przy ul. Witkiewicza w Zakopanem, w rękę trzymam siatkę z lekarstwami, wówczas, w roku 1960, bezpłatnymi. Przez oka siatki widać jej zawartość¹. Z przeciwka zbliża się prof. Steinhaus. Mieszkamy w tym samym Domu Pracy Twórczej PAN „Pod Szczytami”, ale znamy się tylko z widzenia, głównie z jadalni, gdzie pp. Steinhausowie siadają przy sąsiednim stoliku razem z pp. Baryczami, a my z moją żoną i z rektorem Walerym Goetlem. Hugo Steinhaus odpowiada na mój ukłon i podchodzi ze słowami: „Widzę, że Pan Kolega stołuje się w aptece”. Ta dowcipna, doraźna reakcja na sytuację zaintrygowała mnie, a owo „pan kolega” zabrzmiało po lwowsku w moich uszach „warszawisty”, ale syna rodowitego lwowianina². Zagadnąłem Profesora o Lwów. „Tak, można powiedzieć, że ze Lwowa, ale od niedawna, dopiero po

maturze, a od piętnastu lat z Wrocławia, więc w sumie krótko, najwyżej koło czterdziestu lat, z przerwami”. Poszliśmy razem w stronę naszego pensjonatu; właśnie nadchodziła pora obiadu. Potoczyła się rozmowa, Lwów był jej punktem wyjścia. Profesor – tak jak i oboje moi rodzice (mój Ojciec był o rok młodszy od Hugona Steinhausia) – na I roku chodził na bardzo wczesne poranne wykłady Kazimierza Twardowskiego w wielkim amfiteatralnym audytorium i także wspominał, że kto się spóźnił choćby o kilkanaście sekund, musiał wytrzymać srogą karę: Twardowski przerywał wykład w pół słowa, wyjmował z kieszeni zegarek i wpatrując się weń, czekał w milczeniu, aż nieszczęśliwiek dotrze na jedyne jeszcze wolne miejsca na „jaskółce”.

Zauważyłem, że Profesor ma niezachwiane zapatrywania językowe: gdy użyłem spójnika „żeby”, aż przystanął: „Chyba chciał Pan Kolega powiedzieć ‘aby’”. – „Nie, a co to za różnica?” – „Ależ to zupełnie co innego znaczy!” i usiłował mnie przekonać. Mój syn zaś przysłał mi następującą anegdotę: „Steinhaus uporczywie cytował na seminarium ‘twierdzenie Knastra’, a obecny na sali Knaster za każdym razem poprawiał na ‘twierdzenie Knastera’. Po kilku razach zirytowany Knaster powiedział do Steinhausia: ‘Chyba każdy ma prawo do własnego nazwiska!’. Na co Steinhaus: ‘Tak, ale tylko w mianowniku’”.

Innym razem, gdy ktoś narzekał, że nie ma szczęścia i albo nic nie wygrywa w grze liczbowej, albo tylko jakieś nędzne grosze, Steinhaus zauważył: „jest na to sposób: grać przeciw wszystkim! Ludzie chętnie obstawiają pewne szczęśliwe liczby, np. siódmkę, dziewiątkę, trzynastkę. Zebraliśmy w Totalizatorze dane w tej sprawie. Należy wybierać niepopularne liczby. Wtedy, jeśli się wygra, to większą sumę, bo ci liczni, co przegrali, złożą się na naszą wygraną”.

Profesor lubił żarty. Chwalił się np., że gdy jego córka przyjęła oświadczyni Jana Kotta, swego przyszłego męża, długo odmawiał poznania go, bo bawiła go myśl, że „kupuje kota w worku”.

Podczas posiłków ukradkiem spoglądałem na sąsiedni stolik i zauważyłem, że prof. Steinhaus każde danie dzieli na połowę i poprzestaje na „dziecinnej”, zredukowanej porcji. Co prawda był niewysoki i raczej drobnej postury, ale i tak ta racja żywnościowa wydała mi się głodowa. Zwłaszcza że wiódł życie ruchliwe, uprawiał intensywną turystykę górską.

Przypominam sobie, że raz ze swym kilkuletnim wnukiem, Michałem, wyruszyli wczesnym rankiem na Czerwone Wierchy i przemierzwszy całe pasmo, stawili się punktualnie w pensjonacie na obiad.

W gronie młodych ludzi – a ich towarzystwo lubił – Profesor często wybierał się na taneczny „five” lub wieczorny dancing. Nie omijał wtedy żadnego tańca, a pragnienie gasił lemoniadą, nie zaś – jak reszta towarzystwa – winem. Żartował, że jego rodzina posiadała w Jaśle winne piwnice, więc ma we krwi nadmiar tego trunku. Może wówczas – przeszło siedemdziesięcioletni – obawiał się udaru. Ten jednak go nie ominął, mimo że Profesor intensywnie przez wiele lat trenował mózg, wiódł ruchliwe życie, przestrzegał diety oraz unikał alkoholu. Mówiono mi, że w środku wykładu – jak się okazało ostatniego – umysł osiemdziesięcioletniego wówczas człowieka odmówił posłuszeństwa i adiunkt obecny na sali musiał dokończyć wywodów.

Tak się złożyło, że krewna mojej żony – po wojnie także wrocławianka – Ruta Czaplńska, bywała gościem w domu Państwa Steinhausów. Po śmierci ich obojga pojemnik na chleb z kuchni Steinhausów trafił – nie wiem jak – do niej, a po jej śmierci – do nas. Mam więc u siebie mały fragment „izby pamięci” Hugona Steinhausia i choć nie żaden to symbol ani muzealne cymelium, obecność tego sprzętu sprawia mi satysfakcję.

JERZY PELC

Uniwersytet Warszawski

¹ Starsi ludzie do dzisiaj „siatkę” nazywają także i tzw. „reklamówkę”, torbę z plastyku, a Polonia w Stanach Zjednoczonych również papierowe torby na zakupy.

² „Warszawista” to nieco uszczypliwe lwowskie miano mieszkańca Warszawy, dumnego z jej stołeczności, choć przecież każde dziecko w Galicji wie, że stolicą jest królewskie miasto Kraków, a Warszawa zaledwie od przedwczoraj i tylko tymczasowo.

Profesor i dziennikarze

Profesora Steinhausa pamiętam z moich pierwszych wrocławskich dni, które były ostatnimi dniami grudnia 1945, roku zakończenia wojny, kiedy w moim jeszcze dziecięcym życiu zmieniło się miejsce, szkoła, koleżanki i koledzy, a w życiu pokolenia moich Rodziców nastąpiły zmiany zasadnicze.

Rozmawiano o tym podczas spotkań w uniwersyteckiej stołówce „Mirus” przy ulicy Chałubińskiego, gdzie wtedy była siedziba Dziekanatu Wydziału Lekarskiego, a tymczasowo zajmowaliśmy jeden pokój – zastawiony skrzyniami z tułaczym dobrem przywiezionym ze Lwowa. Posiłki w „Mirusie” były okazją do wzajemnych relacji o tym, co komu udało się zrobić, żeby można wyklądać w salach z wybitymi szybami, żeby było gdzie zakwaterować chociaż część studentów, którzy zjechali do zrujnowanego miasta po różnych wojennych przeżyciach. Profesor Steinhaus przychodził i czasem zjadał obiad, czasem zabierał go w menażkach do domu na Biskupinie, dokąd dojeżdżał jedyny wrocławski tramwaj.

W następnym roku zamieszkaliśmy w tej samej dzielnicy, a po parunastu latach, po skończonych studiach na Uniwersytecie, już pozbawionym śladów pionierskiego trudu pierwszych przybyszów, zaczęłam pracę dziennikarską w Redakcji Popularnonaukowej wrocławskiej rozgłośni Polskiego Radia. Wielki Uczony – autor najlepszej książki (*Kalejdoskop matematyczny*) zbliżającej matematykę laikom, a właściwie profanom, bo kto z laików nie jest w tym przypadku profanem? – był pożądanym bohaterem audycji mojej redakcji, a także prasy, która wtedy miała rubryki poświęcone nauce. Koledzy opowiadali sobie, jak Uczony ich przyjął, co powinno się wiedzieć idąc, na spotkanie z Nim, jakich pytań nie lubi, jakich zwrotów dobrze jest unikać.

Z długiej dopiero perspektywy wiem, że Profesor nas dziennikarzy wychowywał – w sposób czasem uciążliwy, ale owocujący pożytecznie w dalszej zawodowej drodze. Myślę, że moi ówczesni wrocławscy koledzy są Mu za to, podobnie jak ja, wdzięczni. Wywiad z Nim poprzedzony był zawsze przykazaniem, wypowiedzianym w pierwszych zdaniach rozmowy telefonicznej, gdy się o wywiad prosiło, żeby dziennikarz zapoznał się – przynajmniej – z podstawowymi danymi dotyczącymi biografii i dorobku, bo na informowanie o tym podczas spotkania poświęconego problemom naukowym Profesorowi szkoda czasu.

Myślę, że nie tylko mnie zwierzył się z sarkazmem, że zastanawia się nad tym, czy nie opracować jakiegoś równania, które ujmowałoby notorycznie popełniane w tym zakresie błędy: „Mylicie państwo moją datę urodzenia, miejsce, gdzie chodziłem do szkoły, zajęcia w czasie wojny itd., itp.” To zawstydzalo każdego, a ja czułam się szczególnie zobowiązana do poprawności z uwagi na zawodowe i towarzyskie kontakty Rodziców z, ówczesnie wrocławską, szkołą matematyczną, która rozwijała zastosowania matematyki w różnych dziedzinach, gromadząc na poświęconych temu spotkaniach lekarzy, filologów, inżynierów, ekonomistów...

Zastosowaniom przeznaczyłam niejedną audycję, zapamiętując na zawsze chyba słowa Profesora Juliana Perkala, jednego z uczniów i współpracowników Profesora Steinhausa, o tym, jak pracuje nad matematycznym modelem idealnego lekarza, czyli próbuje ująć we wzory liczbowe to, co u żywego lekarza jest intuicją, talentem, co każe mu dostrzec, nienotowane przez aparaturę, cechy

wyglądu pacjenta, wyczuć otaczającą go aurę, odczytać myśli towarzyszące chorobie... Okazało się to znacznie trudniejsze niż opracowanie modelu klawiatury maszyny do pisania, który udoskonalił poprzedniczki komputerów.



Popiersie Hugona Steinhausa dłuta Tomasza Rodzińskiego

Gdy we Wrocławiu powstał ośrodek telewizyjny, zwrócono się do Profesora Steinhausa o cykliczny program popularyzujący matematykę. Po spełnieniu postawionych przezeń warunków (nie wszystkie były łatwe) program ukazywał się przez dłuższy czas, zyskując dużą i stałą oglądalność. Warto w tym miejscu dodać, że w tamtych czasach nie dręczyli dziennikarzy zajmujących się nauką imperatyw czynienia z każdego przekazu rozrywki, ani wmawiane przez zwierzchników przeświadczenie, że odbiorca wytrzymał przekaz poważnej treści najwyższej cztery minuty albo półtorej szpalty w gazecie.

Od Profesora Steinhausa nauczyliśmy się pilnowania podstawowej rzetelności, odpowiadania za nią przed naszymi rozmówcami i – jak to dzisiaj widzę – również przed odbiorcami, choć oni zazwyczaj nie są w stanie jej sprawdzić. Ci z nas, którzy pośredniczą między światem nauki i społeczeństwem, zwani dziennikarzami naukowymi, przyswoili sobie także pewne sposoby popularyzowania rzeczy trudnych, mało znanych ogółowi – bez nadmiernych uproszczeń i trywialnych analogii.

W relacjach z Profesorem miałam małą wiktoria, powiedziała bym filologiczną. Wszyscy wiedzieliśmy, a niektórzy pamiętają, puryzm językowy tego wielkiego matematyka. Z upodobaniem poprawiał nieściśle użycia wyrazów, mieszanie znaczeń, zwykłe błędy. Zaczawszy rozmowę niezbyt oryginalnie: „Wrocławski ośrodek naukowy...”, usłyszałam: „Ośrodek to jest wewnątrz chleba otoczone skórka” i odpowiedziałam natychmiast: „W chlebie jest ośrodek” – do dziś nie wiedząc, kiedy i od kogo to usłyszałam albo gdzie przeczytałam, będąc jednak pewną swojej racji. Profesor Steinhaus, trochę zdziwiony, odparł: „Sprawdź to, ale chyba ma pani rację”. Zapamiętałam, że należy sprawdzać, co nam inni mówią, ale zawsze się nad tym zastanowić.

Hugonotki¹

- Człowiek jest dowodem boskości zwierzęcia.
- Chór świerszczy – Traviata.
- Do historii przechodzą zdania co najwyżej siedmiowyrazowe.
- Dowcipem nie należy celować, tylko trafiać.
- Dowcip jest szyfrem, selekcjonuje automatycznie i bezbłędnie adresatów.
- Dzięki rozpowszechnieniu oświaty można dziś czytać, pisać i publikować, nie przestając być analfabetą.
- Geniusz – gen i już.
- Głupota jest początkiem mądrości – cudowne dzieci mają małe szanse.
- Jedną z cech głupstwa jest logika.
- Każdy człowiek zachowuje się sztucznie – jest to zupełnie naturalne.
- Kula u nogi – Ziemia.
- Matematyk robi to lepiej.
- Mędrzec widzi w lustrze głupca, głupiec przeciwnie.
- Między duchem i materią pośredniczy matematyka.
- Naukowiec – taki, co to słowo wymyślił.
- Nie starość, ale młodość starców czyni ich obcymi otoczeniu.
- Plato wierzył, że istnieje idealna kula. Ale jedynym jej modelem jest bańka mydlana.
- Ptaszek, co słucha tylko własnych audycji – głuszc.
- Przed operacją lekarz zawsze umywa ręce.
- Rad – Curiosum.
- Taki, co lubi wczesnie wstawać – ranny ptaszek w głowę.
- Twierdzenie, że Linde spolszczył wyrazy niemieckiego pochodzenia – lipa.
- Warszawiacy nie wierzą w nic, co wymyśli prowincja – są ateistami, bo nie spotkali Boga na Marszałkowskiej.
- Wszystkie bale są kostiumowe, nawet bal nudystów.
- Za granicą mówią: X to dobry matematyk, z pewnością Polak. U nas mówią: Y to prawdziwy Polak, z pewnością słaby matematyk.
- Zabawa znalezionym granatem – rozrywka.
- Znalezienie kwadratury koła przez Kanta – pi-kant-eria.
- Zwierzęta mają swoją mowę – ludzie różnią się od nich gadaniem.
- Bezwonna woda kolońska – Ren.
- Skończyła się wojna, to przelewanie krwi z pustego w próżne.
- Odkrycia są błyskami. Można znaleźć kamień filozoficzny i zapomnieć, gdzie leży.
- Taki, co się obywa bez wszystkiego – obywatel.
- Łatwo z domu rzeczywistości zejść do lasu matematyki, ale nieliczni tylko umieją wrócić.
- Nie należy mówić źle o nieobecnych, a coś dopiero o nieistniejących; ateści mają trudną sytuację!
- Łatwo usunąć Boga z Jego miejsca w wszechświecie. Ale takie dobre posady niedługo wakuują.
- Nie sztuka przepowiadać przyszłość; trzeba zgadywać teraźniejszość.

HUGO STEINHAUS

¹ Tak we Wrocławiu mawia się o aforyzmach Profesora Steinhausa, których niewielki wybór zamieszczamy, zachęcając czytelników, aby sięgnęli do źródła: Hugo Steinhaus, *Słownik racjonalny*, Ossolineum, Wrocław, 1993.

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Jerzy Vetulani, Marta Wyka, Jerzy Wyrozumski, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.